№ 4.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Naglowic.

ROK 1844. Poznań, dnia 14. Lutego.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Za artykuł wstępny przytaczamy tu słowa Custina, przetłumaczone z dzieła la Russie, które on zwraca do Francyi, a które i my śmiało do siebie zastósować możemy. „Jakże rozum naturalny może się rozjaśnić w społeczeństwie, gdzie mówią czterema językami, nie umiejąc żadnego? Oryginalność myśli bardziéj niż to spostrzegamy, zależy od całości języka krajowego, a właśnie o tém zapominają w Rossyi od stu lat, a we Francyi w ostatnich czasach. Nasze dzieci uczują silnie uprzedzenie do piastunek Angielek, które modne matki tak opanowało.

We Francyi najpierwszym, i najlepszym nauczycielem języka była niańka, bo człowiek ma się ćwiczyć w mowie narodowéj całe życie, ale dziecko bez uczenia się ma ją mieć jakby podawaną do kołyski. Ale zamiast tego nasze Francuziki szczebiocą najpierw po angielsku, i kaleczą niemieczczyznę, a dopiero uczą ich po francuzku jakby języka obcego. Montaigne się cieszy, że pierwéj umiał po łacinie niż po francuzku. Ale to co innego, bo język łaciński jest korzeniem języka francuzkiego; u narodu zaś, ktory nie szanuje mowy swoich ojców, traci się czystość i naturalność wyrażeń. Jestem przekonany, że powód braku samodzielności, który wybija w nowszéj literaturze Słowian, pochodzi z nałogu powziętego w 18tym wieku przez Polaków i Rosyan, biorących za przewodników cudzoziemców w wychowaniu swoich dzieci. Kiedy w dalszych latach przychodzi im używać języka ojczystego, tłumaczą go, a taki styl pożyczany, zatrzymuje polot myśli, i niszczy prostotę wyrażeń.

Dla czego Chinczykowie zdziałali do tego czasu więcéj niż Rosyanie w literaturze, w filozofii, w moralności, w prawodawstwie? Pewnieć ten powód, że nie przestali wyznawać gorącéj miłości do swego pierwotnego języka.

Zmięszanie języków nie szkodzi rozumom miernym, ale owszem jest pomocą ich pojęciom, bo tylko wykształcenie powierzchowne do takich głów przylega, a przez ćwiczenie równie powierzchowne języków żywotnych jest jeszcze ułatwionem, gdyż nauka tak lekka, albo raczéj igraszka umysłowa, całkiem przypada do rozumów leniwych, albo biorących kierunek materyalny. Ale gdy nieszczęście zrządzi choć między tysiącem raz jedyny, że system takiego wychowania zastósują do talentu wyższego, wtedy on wstrzymuje rozwijanie naturalne, wprowadza w błędną drogę jenialność, gotując na przyszłość źródło daremnych żali i prac, a mało jest wyższych ludzi, którzyby mieli czas i odwagę tak widzieć zmarnowaną swoją młodość. — Wszyscy wielcy pisarze nie są Rousseau, a on uczył się naszego języka jak cudzoziemiec, i potrzeba było jego jenialnych wyrażeń, ruchliwéj imaginacyi, złączonéj z wytrwałością charakteru, a nakoniec odosobnienia od świata, aby przyjść do posiadania języka francuzkiego z taką pracą, jak gdyby go się nigdy nie uczył. Jednakże francuzczyzna Genewczyków, jest bliższą Fenelona, niż dzisiejsza mięszanina języka angielskiego i niemieckiego, którą mówią teraźniejsze dzieci modnych rodziców w Paryżu.“ Daléj mówi Custine: że język rosyjski zaczyna się zwolna odradzać, a taką jeszczę uwagę robi nad Francuzami:

Eleganci i tak nazwani u nas oświeceni, gotują Francyi pisarzy naśladowców, i kobiety bez iskierki

samodzielności umysłowéj, będą one rozumiały Szekspira i Götego w oryginale, ale nie zdolne będą ocenić prozy Bossueta i Chateaubrianda, ani lotności poezyi Hugo, ani oryginalności i swobody Moliera i La Fontaina, ani uczucia i charmonii Lamartina! Zrobią nowe pokolenie niezdolnem do utworzenia czegoś oryginalnego, aby mogło utrzymać nadal chwałę swego języka, i jak dawniéj, zniewalać ludzi innych narodów przebywania we Francyi, dla nauczenia się tajemnic dobrego smaku.

Z notatek waryata.

(Ciąg dalszy.)

Nagły jakiś krzyk powstał, a przeraźliwy jak konającego. To mnie otrzeźwiło z gorączkowego marzenia. Zrywam się, słucham. Przebudzony z mego snu na jawie, niezdołałem zrazu zebrać myśli. Ale się krzyk tęskliwy, a rozdzierający serce powtórzył. Zdało się, że ktoś wzywa pomocy, biegnę. O kilka kroków spostrzegłem topielisko zarosłe, a w niém jakiś młodzik tonie i w niebo głosy krzyczy. Ledwie o kilka łokci od brzegu trzymał się kępki zarośli, a jednak już połykał brudną wodę topieli — niewidać było, tylko nisko przystrzyżoną główkę, czapka gdzieś ku środkowi pływała. Znać po słońcu, że już było południe. Całą noc przemarzyłem we śnie gorączkowym.

— Ach ratujcie! o Boże! utonę! wołał młodzieniaszek.

— Tylko czekaj, a niewrzeszcz — rzekłem spokojnie — wyciągnę cię.

— Ach ratujcie kto słyszy, o dla Boga gwałtu!

— Cicho! krzyknąłem jeśli niezamilkniesz to niesięgnę po ciebie!

Tak energicznym odurzony rozkazem zamilkł tonący. Rzuciłem się w topiel, z brzegu niebyła głęboka, i za kołnierz wyciągnąłem nieboraka. Drzący, przestraszony, blady, niemógł ani słówka przebąknąć.

Poznałem z miny zaraz, że to było jakieś paniątko. Biedne wyszło sobie polować — i zapędziło się tak za kaczką, czy może zającem, że wpadło w błoto. Nie dziwić się temu! boć paniątko musi być zawsze ślepe! nie widziało wody!! Rozśmieszyła mnie ta awanturka, ale niemógłem dalszych prowadzić rozmyślań, bo mi przerwał młody topielec.

— Ach mój panie! jakże waćpanu wdzięczność moję wyrażę. Jestem hrabia Waldemar. I mój ojciec ma tu dobra, polowałem — miałem przypadek, żem tu wpadł w tę wodę.

— A po licha waszeć tak chodzisz, że niewidzisz gdzie ląd, gdzie woda! Oj coś mi ta sprawa podejrzana! Czyż téż niegonił za jaką Świtezianką!

Mój panicz bardzo niedowcipnie otworzył usta i wielkiemi na mnie spojrzał oczami „co to znaczy?“ ale się szybko spostrzegł — i dodał. Prawdziwie nieumiem panu podziękować, chciéj się pan udać zemną do pałacu ojca mego, prawdziwie musi być o mnie niespokojny — et d'ailleurs przyznam się, że przemokłem — i pan także! Ale komuż ja życie winienem, pan obcym być tu musisz — Vous n'etes pas polonais? jak mi się zdaje?

— A to znowu czemu?

— Pan Polak — a bardzo przepraszam — i ja także — ale wymowa pańska — przepraszam — zdawało mi się. No pójdziemy?

Niebyło to bardzo bezpiecznie, iść chudemu pachołkowi do wielkich panów, ale myślałem sobie, jeśli mam zginąć, toć wolę, żeby mnie tam u nich raczéj, aniżeli gdzie w lesie złapano. Pójdę na chybił trafił. Ale mój panie, — rzekłem, idąc do mego towarzysza, ja nie chcę być od nikogo widzianym w tym stroju. Podróżuję, przemokłem. Muszę się przebrać.

— Dobrze! nikt pana niebędzie widział, nawet mój służący nie — zaręczam.

— A dużoż tam ludzi w pałacu u was?

— Ludzi! — o tak — sześciu lokajów, — jeden kamerdyner — kucharzy dwóch, kuchciki, — służba stajenna, a kobiet także dość.

— Cha! cha! mój panie niechcący i prawdę powiedział — panowie nie są ludźmi — ale raczéj... no! co tam — mówił na późniéj, a dużoż tam u was panów — pań?

— O tak — ojciec — stryj — goście zawsze, matka, siostry — panna Emilia kuzynka, a potém mój guwerner człowiek bardzo uczony.

— Doprawdy!

— O tak! już ja widzę, że i pan jesteś uczonym, podróżnym — pewnie jakiéj planty osobliwéj szukasz. Pan mi na uczonego wyglądasz, a co zgadłem!

— Bóg zapłać za komplement.

III.

Nim wszedłem do jadalni pana hrabiego, już cały pałac trząsł się od ważnéj wiadomości, że jakiś obcy nieznajomy uczony, wyratował z topieli młodego panicza. Wszyscy nader byli ciekawi oglądać mnie. A ja jak na złość długo się stroiłem.

Wchodzę wreszcie. Podwoje dwóch mi ludzi w liberyi otwiera, przestępuję próg, był ci on niski, a jednak za wysoki na moje nogi. Kłaniam się. Naprzód jakiś mnie galant ze Stanisławowskich jeszcze świętéj pamięci czasów obsypuje komplementami. Włosy miał siwe króciutkie, twarz wywiędła, uśmiech zawsze na ustach — kołnierzyk dostawał mu za nos, choć ten potężnie długi i zawisły aż do brody — frak niebieski z żółtemi guzikami, kamizola biała w żółte kratki, chustka na szyi zawiązana jeszcze za brodę biała, a nóżki w trzewikach, wykrzywione jakby miał tańczyć. Żaboty i szpinki niemały w téj karykaturze stanowiły zasób wdzięków. Mój podstarzały grzeczniś niemógł skończyć wynurzeń swojéj wdzięczności, żem mu syna uratował, bo oto kobietka objętości dużego pieca, a wyższa od męża o łokieć, — w wyszukanym ubiorze, a w czepku mającym nad głową przynajmniéj z pół łokcia, — daléj stryjaszek, panny, to wszystko niedało mi wytchnąć od podziękowań. Przybył też i guwerner młody Francuz, ksiądz z minką istnie taką, jaką ma kot kiedy się do słowika skrada.

— Monsieur l'abbé de Parmentier.... rzekł mój galant staruszek — ale pan?... Komuż winienem tyle szczęścia tyle radości, komuż życie syna, które mi więcéj znaczy niż wszystko w świecie? Komuż dobrodziejstwo, z którego nigdy niczém się niewywdzięczę... ani całym majątkiem, ani całym wpływem moim.

— Nazywam się Władysław Ł... rzekłem, a jestem prześladowany, dla tego, że kocham spółziomków, ścigają mnie wszędzie, są na śladzie za mną, ale w domu pana znajdę pewno schronienie na dni parę, póki nie wypocznę, potém pójdę za granicę. Niechciałbym się panu narzucać na gościa, ale gdy mi pan chcesz swoje dobre serce okazać, przyjmę przytułek w jego domu, któregoby mi narażony ani zagonowy szlachcic, ani biedny wieśniak dać niemógł. Teraz znasz mnie pan zupełnie.

Galant hrabia odskoczył na kilka kroków! — Hola! służba, związać go! — krzyknął i zatrząsł się cały.

— Jakto! zawołałem przerażony. Chcesz mnie wydać?

— Wasan zasługujesz na to.

— Jam ci syna uratował! Ty zgubisz mnie!

— Związać go mocno! woła hrabia — i odstawić do pierwszego miasteczka, oddać w straż ścisłą, a potém do Kielc.

Próżno się chciałem bronić — z osłabienia nie mógłem.

— Jam mu syna uratował! — wołałem tylko. Waldemarze! broń mnie! Waldemarze! Wiążą mnie! jam ci dał pomoc!

Ale mój panicz odrzekł: Czcij ojca twego i matkę twoję!

Próżnom się do sług obracał — cóżby im było po życiu biednego zbiega; gdyby mnie puścili, straciliby służbę.

Za chwil kilka już leżałem związany na wozie.

IV.

Gdy bardzo wielkie grozi nam niebezpieczeństwo, często natężamy umysł, i tak on się natenczas silnym i czynnym staje, że ani można go ze zwykłym porównać stanem i usposobieniem. Pokonać on zdolen trudności wtenczas, jakie się nieprzełamalnemi w zwykłym rzeczy porządku zdają.

Tak się właśnie ze mną stało. Przychodzi mi nagle w chwili, kiedy już zwątpiłem o możności uwolnienia się, szczęśliwa myśl — przestraszenia moich siepaczy — bo innym sposobem ciężko było trafić z nimi do końca. Nagle zrywam się z wozu, i krzyczę na całe gardło:

— Stójcie! nie jedźcie daléj! na wieki będziem potępieni! stójcie!

Okropny głos, jakiego dobyłem, uczynił wrażenie. Stają strażnicy, pytając, ażalim owaryował. Ale ja, zamiast odpowiedzi, wyjęknąłem: żegnajcie się, może was krzyż święty zbawi!

Mimowolnie podnieśli ręce do zrobienia znaku krzyża.

— O i mnie rękę rozwiążcie! — wołałem — bo już, już blisko nas, porwie nas! Prędzéj! moja dusza będzie na waszém sumieniu!

Rozwiązali mi szybko ręce, a z niemi i nogi — bo te do jednéj kupy z niemi skrępowane były. Przeżegnałem się!

— No, ale co to jest, czego się strachacie? — pytali.

— Tam! tam! patrzcie — i wskazałem na mostek i znów się przeżegnałem.

— Ale co? — struchleli pytali. Czy on co widzi, czy go choroba napadła?

— Nie — odrzekłem — strach!

— Czego?

— Żeby wam się to źle nie skończyło! żeby was nie schłostano!

— Za co? kto? czy jeszcze złe widzisz i gdzie?

— Za waszę służbę — zły, któremu służycie!

— Zły? my złemu służymy? Czartu!?

— Tak, Hrabiemu! — krzyknąłem, będąc już za mostkiem; a nim się namyślili mnie ścigać, Bóg wie jak daleko byłem.

Vitesse! Vitesse! mawiał Napoleon — tout est gagné — i zaprawdę doświadczyłem, że miał słuszność.

V.

Dwa dni potém byłem u państwa Dobrowolskich. Poczciwi obywatele! on jeszcze Napoleoński wojak, ona staruszka miła — oboje kraj i rodaków kochali nad wszystko. Mieli jednę córkę. Anielka była prześliczną blondynką, oczy modre, świeżość dwudziestoletniéj panienki. Stary wiarus spotkał mnie na polu wieczorem, dzień bowiem przebywałem po lasach, nie chcąc się narazić na niebezpieczeństwo.

— Niech będzie pochwalony! A gdzie to wasze tak mroczkiem idzie?

— Do miasteczka — mój panie.

— Patrzże tam, mój paniczu, deszcz będzie!

— To zmoknę!

— Pobożnie, kochaneczku! A nie łaska to do starego wstąpić?

— Mój panie, nie znamy się! Jakąż pan masz rękojmię za mną?

— A boż to ja nie byłem pod Lipskiem! i w Moskwie! O mój synu! cesarz mi sam przypiął wstążeczkę, i tu ją mieć będę — on w grobie! nie darmo człek tyle świata zbrojno obiegł, żebym się téż niemiał znać na ludziach! Pójdź pan ze mną, zjesz hultajskiego bigosu, napijem się wina. Anielka ci zagra na fortepianie, a stary, jeśli zechcesz, opowie o kampaniach, o cesarzu.

Nazajutrz, gdym chciał odchodzić, nie puścił mnie staruszek. Ludzie poczciwi, nie mógłem ich zwodzić długo, przyznałem się, że idę daléj, nie do miasteczka, więc mi stary wiarus obiecał dać bryczki — „a tymczasem posiedź sobie z nami, nie żałuj nam czasu, kiedy się już może nigdy nie zobaczymy“

Z poczciwymi prędko się spoufalić można. Opowiadałem im rozmaite życia mego i kolegów przygody. Anekdotki o ostatniéj wojnie, o szkołach, o miłości méj pierwszéj, i Bóg wie nie o czém. Stary jak zaczął opisywać bitwy, to aż pięściami bił po stole, żeby pomodz kartaczom łamać szyki nieprzyjaciół, a Vive l'Empereur kończyło każdą jego opowiedź.

Owoż siedzimy sobie przy herbacie, kiedy się na dziedzińcu wszczyna wielki hałas — psy szczekają, służba biegnie — ej jedzie ktoś. Goście! trzask z bicza — i stanął powóz przed gankiem.

— Ach to hrabia Waldemar przyjechał! — rzekł stary — dziedziczny i bardzo herbowny, ale majętny, i dobre serce — stara się o moje dziewczę.

— Biedny ojcze! i córko biedniejsza! pomyślałem sobie — ale poczekajcie....

Hrabia wszedł z tysiącem ukłonów, powitań i pozdrowień.

— Pan Władysław Ł. — przedstawił mnie dawny żołnierz.

— Mam zaszczyt znać pana hrabiego — odrzekłem — miałem przyjemność być związanym w domu ojca jego i wydanym w ręce oprawców.

— Za co? zapytała pani Dobrowolska — cożeś pan takiego zrobił?

— Nic, łaskawa pani. Wyciągnąłem pana hrabiego Waldemara z topieli. Ale kto z wdzięczności żyje, z głodu umiera, mówi przysłowie.

— Jakże to było? — zapytał mój staruszek hrabiego, który stał cały zarumieniony. Cóż pan Władysław zawinił? Jak się rzecz ma?

— Wszystko zmyślenie... ten pan okradł mojego ojca — odrzekł bezczelnie Waldemar — teraz zmyśleniami chce nas czernić. Życia mi nie uratował, związanym nie był, tylko oddalonym ze służby.

Tyle wytarte czoło zabiło mnie. Zachwiałem się — i padłem bez zmysłów.

VI.

Przyszedłem do przytomności pod razami oprawców w więzieniu. Odtąd już tylko czasem miewam chwile, w których wiem, co się zemną dzieje i w których pamiętam dawne wrażenia. Mówią mi, żem obłąkany. O! bo i jak tu niebyć obłąkanym? jak nie szaleć, w tym świecie samolubstwa i zwierzęcości?! pod tylu męczeństwami, po tylu przecierpianych wiekach?

Czyż już nigdzie, nigdzie w świecie nie ma być dobrze? Czyż ani jednéj warstwy społeczeństwa, w którejby cnota była rzeczywistą? O! toby było okropnie, żeby ten świat mrówiący się od ludzi, nie miał mieć ani jednego poczciwego? — bo i co mi to za poczciwość, kiedy ona dla oka ludzkiego, albo dla interesu.... O! wolę zbrodnię otwartą!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Teatr we Lwowie.

Teatr polski we Lwowie dogorywa. Nie brak mu artystów dramatycznych którzyby rozumieli powołanie swoje w całém tego słowa znaczeniu, przeciwnie, gdyby był czas i miejsce potemu, dziwnie zajmujący

i prawdziwie dramatyczny dałby się ułożyć obraz z owych wszystkich kolei, jakie przebyła scena lwowska, — niemałych trudności miejscowych, z jakiemi walczyli członkowie téj sceny — usiłowań niepospolitych, jakie łożyć musieli, by ją utrzymać na stanowisku wymaganém od dzisiejszéj oświaty; bo zaprawdę, aktorowie teatru lwowskiego, „z wyłączeniem wszakże kilku nowo zaciążnych, którzyby swemi brudami skalali przybytek muzom poświęcony," to nie rzemieślnicy pracujący dla chleba codziennego, ale prawdziwi artyści z pełną wiarą w pożyteczność swojéj sztuki, s prawdziwą odwagą cywilną, niezłamaną trudnościami, naumyślnie może stawianemi, by zniszczyć polską scenę we Lwowie. I dotrwali, bo zrozumieli to dobrze, że teatr narodowy jest ogniskiem, skąd wychodzi poprawa obyczajów, skąd jak iskry żywotne, sypią się w tłumy, myśli swojskie, gdzie nareszcie jak święty ogień Westy pielęgnuje się język narodowy, ta najdroższa przeszłości spuścizna a razem rękojmia przyszłości. Niebrak też publiczności, bo i ta żywém współczuciem odpowiadała zawsze znanym artystom swoim, bo i ta rozumiała ich doskonale, rozumiana nawzajem przez nich, a najlepszym tego dowodem; że zawsze dochody zapełnionego teatru polskiego musiały zastępywać wydatki pustych widowisk niemieckich. Po różnych przemianach dostała się dyrekcya teatru w ręce możne, w ręce które czarodziejską złotą rószczką wzniosły w przeciągu lat kilku nowy gmach teatralny. Polskie, dobrze znane, historyczne nawet nazwisko, rokowało nam najpiękniejsze nadzieje dla polskiego teatru, lecz niestety! wszystkie podobno nadzieje nasze, to owoce tantalowemi nieschwytane ustami. — Teatr polski pozostał sługą pracującym nie dla siebie, niewolnikiem poniewieranym przez dyrekcyą nierozumiejącą i nieczującą nic prócz złota. Komu s Polaków jest nieznany Nowakowski; wszakci on u nas ma więcéj jak europejskie bo swoje nazwisko a zasłużone mistrzowskim prawdziwie talentem pojmującym każdą myśl i każde uczucie. Nieraz widząc Nowakowskiego w utworach Fredry lub Korzeniowskiego mimowolnie nasuwa się myśl że tę lub ową rolę ci mistrzowie poeci pisali naumyślnie dla mistrza aktora. Owoż czego w starym i brudnym teatrzyku dawnym najcięższe niezdołały okoliczności, trącające nieraz o niedostatek, nędzę i prześladowanie, to potrafiła dyrekcya w nowym większym i świetnym teatrze. Szykany skąpéj i chciwéj dyrekcyi, wypędzają dziś Nowakowskiego od nas. Tego artykułu niejest celem rozwodzić się nad różnemi drobiazgowemi śmiesznościami, cechującemi dyrekcyę teatru lwowskiego; złotem powstała, złota żąda; mniejsza o to! pomińmy nawet i to, co przecie złéj wiary jest dowodem, że bez żadnego rozsadnego powodu postanowiła zmniejszyć roczną płacę Nowakowskiego i innych aktorów; gdyby nawet zataić taką śmieszność jak n. p, zdarzone raz wyprowadzenie Nowakowskiego z loży niezapełnionéj w czasie widowiska dla tego że za nią niezapłacił, ale niemożna przemilczeć, że dyrekcya polska polskiego teatru, która dla chciwych, a źle wyrachowanych widoków zysku własnego, wygania takiego aktora jak Nowakowski, jest dyrekcyą głową i sercem ograniczoną. — Czyliż to tak wiele mamy na polskiéj ziemi polskich teatrów, aby można zimną krwią niszczyć jeden z nich, bo daremnie chciałaby dyrekcya wmówić, że za jednego aktora będzie drugi; jeżeli jak powiadają za Nowakowskim niemniéj codzień poniewierani Benza, Rutkiewicze, Starzewscy, którym dyrekcya od przyszłéj kwietniéj niedzieli wypowiedziała posadę, porzucą teatr lwowski nie tak łatwo przyjdzie znaleść godnych zastępców. I bogdajbym niebył wieszczem, przyjdzie może czas, w którym dyrekcya zasępiona pustą salą, smutno patrzeć będzie na kilku tylko widzów zasmuconych brakiem ulubieńców swoich. Mniejsza o żal dyrekcyi za ulubionym zyskiem! ale ważniejszy zda mi się jest żal jaki do dyrekcyi mieć będzie cała część lepsza publiczności przenosząca polskie widowisko nad złą operę lub rujnującego diabełka, ważniejsza odpowiedzialność jaką przed potomnością bierze dyrekcya na siebie. Gdzie jak u nas niema szkoły dramatycznéj, taki mistrz jak Nowakowski jest sam szkołą! zapatrujący się na niego więcéj skorzystają niż gdyby s chęcią małpowania cudze przebiegali teatra, bo Nowakowski niezaprzeczenie jest polskim aktorem dla nas Polaków. — Czy te uwagi s korzyścią będą dla dyrekcyi niewiem, a przecież życzyćby to należało, bo dyrekcya teatru przez Polaka wystawionego ma obowiązki dla teatru polskiego. — Ten herb starożytny, który z frontonu spogląda, czyliż nie powinien przypominać, że się o złoto dbać niepowinno. Habdank powiedziano kiedyś niedbającemu o złoto za rzucenie pierścionka do przepełnionego skarbca, wątpię by potomek takiéj pamiątki chciał naprzekór pięknéj choć dawnéj bajeczce mówić Habdank za kilka groszy zarobionych przez uszczuplenie płacą Nowakowskiego i innych! Wątpię i mniemam, że zatrzymaniem artystów tak ulubionych, opieką czulszą dawaną teatrowi narodowemu, zechce zasłużyć, by mu wszyscy prawi ziomkowie zasługę istotną raz jeszcze powtórzyli co niegdyś przodkowi za złoto — Habdank!...

D......

Miłość własna i poświęcenie.

(Ciąg dalszy.)

Bolesna to zapewne spotykać na dość gęste przykłady młodzieży podobną, materyalną miłością własną skalanéj. Bo wiek młody jest wiekiem poświęcenia, jak na tle spokojnéj, przezroczéj wody odbija się niebo z wszystkiémi malownémi obrazami obłoków, odbija się słońce promieniste i księżyc i gwiazdy; tak w młodziana czystéj duszy odbija się świat samémi ideałami. Miłość młodzieńcza tak silna, żeby ramionami swémi, świat cały opasała; krewkość tak sprężysta, że w imie tego, co mu jest świętém, rzuca się w największe niebezpieczeństwa, najtrudniejsze przebywa zapory, i jak drugi Tytan w niebo gotów ciskać skały. Wiek młody jest wiekiem zapału, którego woda zimnéj rozwagi, i obliczania wypadków, nie zalewa. Odwaga go rozwiewa i płomieniom jego siły dodaje, i nareszcie zapał zdobywa, na coby się żaden rozsądek nie odważył. To też co dojrzały rozsądek rozwinie w teoryi, to tylko młódź dokona w czynie.

W takiém poświęceniu się, choćby tylko dla ideału błyszczy niebieskiém światłem dusza młodzieńcza; blask ten blednie i znika gdy duszę oddech miłości własnéj owionie. A jeżeli jeszcze przemogą namiętności i żądze ciała nad duszą, nie inaczéj, jakbyś ogniem drogich kamieni promieniejące oblicze duszy twojéj, kałem plugastwa obrzucił.

Z wiekiem dojrzałym, męzkim, kiedy się z młodziana tworzy obywatel, gospodarz przemysłowy, ojciec familii, ubywa owego zapału — ideały zmieniają się na rzeczywistość — zakres ludzkości ścieśnia się na zakres familijny — uniesienie i natchnienia zmieniają się w rachuby i troski o przyszłość — dobre mienie, majątek, pieniądz łyszczą w duszy blaskiem który niedokwas oszczędności, chciwości i skępstwa zaćmił — zgoła opadły urocze listki, kwiatu młodzieńczego, a zawija się owoc. Wiek męzki zatém mało zdolen do poświęceń, a przeciwnie miłość własna rozpościela sobie szerokie łożysko. Sami tu ludzie wyrachowani. Na niepewne nic nie ważą, a podobno granic nie ma, któremi się zakreśla ich przekonanie pewności. Ofiary ich zawsze tylko będą cząstkowe, dziesięciny dla opinii publicznéj, któreby radzi wiązać we wiechetki z najgorszego plonu. Ich wystawiania się zawsze oględne, zawsze im na oku stare nasze przysłowie aby wilk był syty i koza cała. Trzeba więc nadzwyczajnéj dozy zapału publicznego, aby i ich jego płomienie ogarnęły.

Są zapewne szlachetne wyjątki, są ciała męskie, są nawet ciała owiędłe starością, w których piersi serce młodzieńcze bije. Ale ogół jest taki, i nie może być inny. Znałem pewnego emeryta, który brał 400 talarów pensyi, był to cały jego dochód, całe utrzymanie. Człowiek ten z największą trwogą brał każdą gazetę do ręki, by czasem w niéj pogłoski o wojnie nie wyczytał, bo niech będzie wojna powiadał, niech mi tylko na kwartał nie wypłacą pensyi, ja z głodu umierać muszę. Ta myśl utracenia emerytury przez nadzwyczajne wypadki, niepokoiła ostatek jego życia, i umarł w czasie, kiedy zatargi o Luxemburg groziły wojną Europejską. Taką myślą niepokojącą dla każdego jest posada, widoki awansu, jest żona, dzieci, jest byt dobry, który się stał drugą naturą, są nieodbite tysiączne potrzeby — w ogóle mąż — człowiek licznémi skrępowany stosunkami ze ziemią, nie zdolen podlecieć w sfery ducha, w których nie masz nic ziemskiego. Onby tam poszedł, gdyby tylko wszystko mógł ze sobą zabrać, aż do swego kucharza i piwniczego.

Miłość własna będąc negacyą poświęcenia, jest oraz negacyą wszystkiego, co jest świętém na ziemi; nadewszystko nie ma wiary w poczciwość i poświęcenie drugich, i nie ma wiary w opatrzność wszystko utrzymującego Boga. — Umierał śmiercią sprawiedliwych pewien ojciec familii, nie zostawując żadnego majątku, żona z kilkorgiem dzieci we łzach stoi nad łożem konającego. Cała przyszłość okropna stawa jéj przed oczyma, ona wdowa bez sposobu życia, dzieci niedoletnie sieroty. W téj myśli co jéj serce tłoczyło, powiada do męża, co się z nią podaniem ręki na wieki żegna: Ojcze! komuż mnie i te dzieci zostawiasz! — Bogu, odpowiedział konający, i skonał. — O bracia, jest Bóg, co karmi ptastwo niebieskie, i przyodziewa lilie polne. Ktokolwiek się więc z was poświęca dla cnoty i sprawiedliwości, gdyby mu nawet życiem to poświęcenie przypłacić przyszło, może być pewny, że dla żony i dzieci swoich zostawia potężnego opiekuna, a tym jest Bóg.

Kiedy w wojnie o niepodległość Szwajcaryi w bitwie pod Sempach, zastępy walnych synów Tela nie potrafiły przełamać ściśnionych hufców rycerzy, i już tamci ustępować zaczęli, Arnold Winkelried zawołał; bracia! pamiętajcie o żonie i o dzieciach moich! to mówiąc ogarnął szerokiemi ramionami kilkanaście najeżonych dzid rycerzy wtłoczył je w pierś swoją, i tym sposobem, po własnym trupie otworzył lukę swoim, którą wcisnęli się w środek szyku nieprzyjacielskiego i rozparli go i pokonali. — O bracia ginąc w poświęceniu się za jakąkolwiek świętą sprawę,

zostawiacie żonie i dzieciom waszym najszacowniejszy klejnot, bo laur cnoty obywatelskiéj, ani wątpijcie o tém, ażeby naród, w którego sprawie padliście ofiarą, nie miał mieć wdzięcznością swoją otoczyć sieroty i wdowy, po mężach i ojcach bohatyrach.

Lecz miłość własna głucha i na słowa religii, i na słowa cnotliwych, nie wierzy ni ludziom ni Bogu, sądzi że w niéj saméj jedyna całéj rodziny podpora, że majątek jest wszystkiém na ziemi, tego więc strzedz i chronić trzeba, jak oka w głowie. Nikt ci nic nieda, gdy sam nic nie będziesz miał, to artykuł wiary powszednich ludzi; w gruncie zaś nic on innego nie wypowiada jak „byle mnie było dobrze, mniejsza o resztę.“ Bo ci sami niby obywatele, co żałują złotych kilku na cel jaki dobroczynny, po kilkaset talarów przegrywają w karty, drugie tyle marnują na częstacye, trzecie tyle na zbytki wielorakiego rodzaju. Naliczysz nawet familii takich, które całe majątki swoje potraciły marnotrastwem, nic a nic nie zdziaławszy dla dobra publicznego ani prywatnego.

Miłość własna opuszczając zakres spraw publicznych, do saméj rodziny się wciska, i nawet miłość familijną z serca wymiata. Zdawałoby się, że rodzice i dzieci przynajmniéj, że już odległéjsze pokrewieństwo pominę, stanowić powinny jedną całość, jedno ciało, w którém jedno dla drugiego się poświęca, jedno dla drugiego żyje. Atoli masz i tu przeciwne tego przykłady. Są rodzice tak nieczuli dla dzieci swoich, że zaniedbując ich wychowania, na ten cel żałują dostatków, które na zbytki i wystawność obracają. Inni wywiążą się jako tako z tego obowiązku, ale za to od puszczenia syna w świat, od wydania córki za mąż, żadnym czynem rodzicielskiego przywiązania nie okażą, obojętni, czy się im dobrze lub źle dzieje. Egoizm tu człowieka zniża do zwierząt, które natura instynktem nauczyła wykarmić młode, ale które potém z płodem swoim w świat rozbiezgłym, w żadnym już nie zostają stosunku. — Są znowu dzieci, najczęściéj zepsute pieszczotami i zbytkiem za młodu, co nie pamiętają na starość rodziców którym wszystko winni, i tu stan zwierzęcy w człowieku, który puszczony samopas, nie zna już ni ojca ni matki. — Co mówić o kłótniach, procesach, podstępach rodzeństwa na oszukanie jedno drugiego?

Do takiego więc wyniszczenia wszystkich najświętszych węzłów do rodziny, do kraju, do ludzkości prowadzi miłość własna. Człowiek stawa sam jeden, najwyższy cel sobie samemu bez żadnéj innéj miłości jak samego siebie.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Jules Janin opisuje mieszkania francuzkich ministrów i znajduje je w opłakanym stanie, bo żaden minister długo nie zostaje w urzędzie i dla tego nic nie wykłada na swe pomieszkanie. Zdarza się czasem, że na koszt państwa odnawiają niektóre przedmioty, ale li tylko, aby stare te mieszkania nie uległy zupełnéj ruinie; meble są jeszcze z czasów cesarstwa, dywany z owych czasów zupełnie podarte, krzesła dawniej wyzłacane poczerniały itd. Okna źle się zamykają, kominy dymią, zegary pośpieszają lub opóźniają się, w sklepach mało wina i złe do tego; ekwipaże stare i złe, konie wiekiem pochylone, woźnice brudni i nieporządnie ubrani. Służący w tych pałacach ministerialnych zawsze pozostają ci sami, gdy tymczasem ministrowie co chwilę się zmieniają.

Wspomnieliśmy dawniéj o Schomburgku Niemcu podróżującym po świecie, iż w Gujanie prawie znalazł ową sławną rzeczpospolitę amazonek, teraz czytamy, że wyprawa wysłana przez wicekróla Egiptu w głąb Afryki, odkryła kraj wprawdzie nieosiedlony przez amazonki, ale gdzie król ma gwardyą przyboczną z samych kobiet uzbrojonych.

Rozwody. W czasie rewulucyi francuzkiéj, 1793, dawano rozwody, skoro najmniejszy powód został podanym. Przed drzwiami biura rozwodowego stały szeregi parami jak przed teatrem lub piekarzami podczas głodu panującego ustawione; małżonkowie byli znagleni kilka tygodni naprzód prosić o posłuchanie i często wydarzało się, że i wówczas, kiedy pozwolenie otrzymali, nie mogli się przedrzeć przez tłumy domagające się rozwodu. Jeden ustęp z prawa opiewał, iż odraza wzajemna dostatecznym była powodem do rozwodu. Dla tego małżonkowie nie raz umówili się o ten powód, oskarzyli się o wzajemną odrazę do siebie i otrzymywali tym sposobem rozwód. Nazywano tego rodzaju rozwody „rozwodami z miłości.“ Nie raz wydarzyło się, że osoby w sześciu miesiącach, sześć razy się rozwiodły i sześć pożeniły. Pod tym względem nie jeden wypadek był arcy zajmujący. Tak się też wydarzyło, że dwie pary rozwiedły się i natychmiast ślub wzięły, z tą małą różnicą, iż każdy z mężów drugiego żonę pojął w małżeństwo; pary te tak z sobą były zgodne, iż uroczystość rozwodu i ślubu razem i wspólnie obchodziły. Dziwniejszym jeszcze jest ten wypadek, o którym wspominały równocześnie wszystkie dzienniki francuzkie. Siodlarz pewien rozwiódł się ze swoją żoną i wkrótce został obranym na maira. Pewnego dnia stawiła się przed nim dawna jego żona, chcąc pojść za mąż, i za kogo? za

księdza Hervier, który jemu dawniéj z nią ślub dawał. Mimo całą osobliwość wypadku mair-siodlarz zachował całą powagę urzędu i połączył parę oblubieńców.

Wiadomą jest rzeczą że Amerykanie nie odznaczają się grzecznością, ale mało kto wie, że szczególniéj w zachodnich państwach, każdy małżonek nazywa żonę swoją, — moja stara — lub — stara kobieta — a nawzajem żona męża nazywa także starym, mimo to, że oboje są młodzi. „Często słyszałem," mówi pewien podróżny, „jak młody mąż, niemający nad lat 25, dawał polecenia niewolnikowi, do „swojéj staréj," nie dochodzącéj lat ośmnastu żony. Dzieci tak samo nazywają rodziców. Pytałem się razu jednego chłopca sześćletniego, jak daleko było do miejsca pewnego. Chłopiec odpowiedział „niewiem, ale zapytam moich starych." To mówiąc pobiegł do rodziców, którzy nie liczyli nawet po lat 25.

Znakomity estetyk W. C. Weber, dowodzi w piśmie porannem *(Morgenblatt)*, że wiele rzeczy uchodzących w naszych czasach za pojaw najnowszego ducha czasu, już w odległéj starożytności było znanych i prowadzących do zapewnienia wrzaskliwéj sławy dawnym artystom. I tak nazwana „Claque" w paryskich teatrach tylko jest szczerém naśladownictwem; bo kiedy cesarz Nero występował na scenie jako śpiewak i nie spodziewał się tryumfu, rozdzielono pomiędzy widzów pięć tysięcy silnych w dłonie ludzi, którzy na znak dany dowódzcy, pobierającego za to 4,000 talarów, potężny sypnęli oklask cesarzowi.

Nigdzie ściśléj nie uważają na różnicę stanów między kobietami, jak w Sardynii; każda tam jest pewnym stopniem oznaczona. Dama jest to kobieta wyższego rzędu, Signora kobieta ze średniego stanu, żona adwokata lub lekarza nazywa się nostrada, dzierżawcy contadina rustica, a żona rzemieślnika arteggiana. Kobiety niższych stanów są przymuszone, tak jak u dzikich ludów, wszystkie ciężkie roboty odbywać.

MODY.

Paryż, dnia 7. Lutego 1844.

Krepa jedwabna najwięcéj teraz bywa poszukiwaną na suknie balowe, w części też do wystroju sukien. Piękną i stósowną jest dla młodych dam spodnica grosdenaplowa lub z mory, z powłoką na niéj krepową białą, która jest krótszą, lub kwiatami albo kokardami z wstążek w górę ujęta. I tak np.:

Spodnica różowa jedwabna z powłoką krótszą z zielonéj krepy, która w trzeciéj części od góry na obie strony rostwiera się. Strony te tworzą wyłogi, w obudwóch rogach znajduje się bukiet kwiatów, z dwiema girlandami aż do kibici zachodzącemi. Stanik jest zmarszczany i ma bukiet w środku. Rękawy są bardzo krótkie.

Niektóre suknie na strój lub półstrój są w staniku otwarte i sznurowane. Rękawy bywają cokolwiek dłuższe, aby można do nich dołączyć rękawy haftowane lub koronkowe.

Inne suknie mają dwie wyłogi u stanika, to jest, przecięcie wykłada się na obie strony, i tak tworzy wyłogi, które są zesznurowane albo paskami z téj saméj tkaniny co suknia, lub też pasamonami. Z pod takiego stanika pięknie wygląda chustka suto haftowana lub zmarszczona.

Do najnowszych szlafroczków policzyć możemy kaszemirowe, z haftem, lub wstążkami orzucone. Podobny szlafroczek widzieliśmy z szarego kaszemiru, podszyty różowym marselinem, u którego wyłogi na powłoce dosyć szerokie ku górze zwężające się, u stanika u dołu węższe, ku górze rozszerzające się. Wyłogi te bywają oszyte różową wstążką zmarszczaną. Przepaskę stanowi wstążka o długich końcach, rękawy także w wyłogi opatrzone, tak są obszerne, że z pod nich widać podrękawy batystowe.

Suknie na wizyty nie orzucają teraz pasamonami, lecz wstążkami lub pięknym haftem z przodu na powłoce i u stanika. Często téż zdobią je dwa szerokie pasy aksamitne, podobnie jak stanik wyłogi.

Turbany na głowach zachowują kształt swój wschodni. A chociaż damy we włosach się ukażą, mają na głowie mały szal perski, dwa razy owiązany, a dwa końce jego po bokach twarzy opadające, przymocowane są grubemi igłami z gałką złotą.

Objaśnienie ryciny.

1. Strój włosów z koronki. Suknia atłasowa w pasy.
2. Strój głowy z koronek i gałązki kwiatów. Suknia aksamitna z falbaną krepową. Długi szal gronostajowy.
3. Okrycie pobalowe z atłasu, haftowane, podszyte i sztepowane. Suknia z czarnego aksamitu.

Redaktor: *N. Kamieński.*

Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*